

Juliusz Verne

Pierre-Jean

I

Już od kilku miesięcy dział alarmowe nie terroryzowało portu w Tulonie. Galernicy – lepiej pilnowani – zatrzymywani byli podczas najmniejszych prób ucieczki. Nawet ci najbardziej nieustraszeni cofali się teraz przed trudnymi do pokonania przeszkodami.

To nie miłość do wolności osłabła w sercach skazańców, ale jakieś niewytłumaczalne zniechęcenie zdawało się obciążać ich łańcuchy. Skądinąd kilku strażników, którym udowodniono niedbalstwo albo zdradę, odwołano z galer, co spowodowało, że ich następcy byli bardziej surowi w pilnowaniu więźniów i w prowadzeniu dochodzeń.

Komisarz galer, przeczulony na punkcie zaniedbań bezpieczeństwa, był dumny z takich rezultatów. W Tulonie ucieczki zdarzały się częściej i były łatwiejsze niż w innych portach, dlatego też należało obawiać się nawet pozornego bezruchu, który mógł skrywać tajne zamiary.

Dla strażników prawa jest rzeczą naturalną podejrzewać zbrodnię nawet wobec jej braku. W chwilach, kiedy nie ścigają przestępców, ich zadaniem jest czuwanie. Przy braku czynów podlegających ich represji czują się zobowiązani oskarżać o zbrodniczość nawet ciszę.

We wrześniu przed rezydencją wiceadmirała zatrzymał się bogaty powóz. Wysiadł z niego mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat. Był nim pan Bernardon, zamożny kupiec, który niedawno osiedlił się w Marsylii.

Twarz mężczyzny była poważna a on sam wydawał się starszy niżby to wynikało z jego metryki urodzenia. Cierpienia, jakich doznał już w pierwszych latach swego życia, zarysowały na jego czole kilka przedwczesnych zmarszczek. Niegdyś jego odwaga zwyciężała przeznaczenie, jego dusza wzgardzała ludzkimi przesądami, jego ręka oddawała się z jednakową szczerością w ręce małych i dużych, jeśli tylko wielkość tych ostatnich i ich pokora były uczciwe!

Pan Bernardon bez niczyjej pomocy dorobił się fortuny – zaczynając od niczego zaszedł bardzo wysoko. W Marsylii otoczony był wielkim szacunkiem

i sławą, utrzymywał kontakty z najważniejszymi osobistościami.

W młodości walczył z nieszczęściem, bezduszością i podejrzliwością ludzką, poszukiwał samotności. Wraz z rodziną trzymał się na uboczu – tak skutecznie, że nigdy nie utrzymywał kontaktów handlowych z ludźmi go otaczającymi. Jego wyjazd odbył się więc bez specjalnego rozgłosu i bez pośpiechu. Do Tulonu przybył pod pretekstem załatwienia spraw rodzinnych.

Możliwie szybko wystosował listy polecające do wiceadmirała. Ten przyjął go chłodno, prosząc o podanie przyczyn swojej wizyty.

– Panie admiralu – rzekł Marsylczyk – mam do pana zwykłą prośbę.

– Jaka?

– Chciałbym zobaczyć, z najdrobniejszymi szczegółami, galery w Tulonie.

– Panie Bernardon – odpowiedział wiceadmirał – listy polecające od prefekta były zbyt słabe. Człowiek tak wartościowy jak pan mógł się naprawdę o nie nie troszczyć.

Pan Bernardon ukłonił się i, dziękując za łaskawość, zapytał, jakich formalności musi dopełnić.

– Nic prostszego – proszę zgłosić się do szefa sztabu marynarki i pana życzenia zostaną spełnione.

Pan Bernardon pożegnał się i kazał się zawieźć do szefa sztabu, gdzie otrzymał pozwolenie wejścia do arsenału. Chciał natychmiast wcielić w życie swoje plany. Obecny u komisarza więzienia ordynans uniżenie oddał się do jego dyspozycji. Marsylczyk jednak podziękował, dając do zrozumienia, że chce zostać sam.

– Zrobi pan jak zechce – odpowiedział komisarz.

– Czy mogę rozmawiać ze skazańcami?

– Oczywiście, moi adiutanci są uprzedzeni. To z pewnością cele filantropijne sprowadzają pana tutaj?

– Tak panie – odpowiedział bez wahania Bernardon.

– Jesteśmy przyzwyczajeni do tego rodzaju wizyt – rzekł komisarz. – Rząd – nie bez racji – poszukiwał sposobów na złagodzenie rygorów więziennych i proszę mi wierzyć, że warunki, w jakich żyją skazańcy, już uległy znacznej poprawie.

Marsylczyk ukłonił się.

– Istnieje sroga sprawiedliwość, jednakże jest ona szczególnie trudna do egzekwowania w tych warunkach, jeśli mamy nie przesadzać w stosowaniu rygorów prawa. Musimy mieć się na baczności wobec współczesnych filantropów, którzy często zapominają o zbrodni w obliczu surowości kary! W dodatku wiemy, że obiektywizm wymiaru sprawiedliwości także ulega ciągłej poprawie.

– Jest pan obdarzony wyjątkową wrażliwością – odpowiedział pan Bernardon. – Jeśli moje uwagi mogłyby pana zainteresować, to z prawdziwą przyjemnością przedyskutuję je z panem.

Na tym obydwaj mężczyźni zakończyli rozmowę i rozstali się, a Marsylczyk udał się w stronę galer.

Port wojskowy w Tulonie składał się głównie z dwóch potężnych wieloboków opartych stroną północną o brzeg basenu nazwanego Nową

Darsą,² położonego na zachód od drugiego, zwanego Starą Darsą. Mury obronne – przedłużenie fortyfikacji miasta – były rodzajem tam wystarczająco szerokich aby pomieścić w sobie długie budynki, takie jak: warsztaty, koszary, magazyny Marynarki. Każdy z basenów miał w części południowej rodzaj wejścia-zamknięcia wystarczającego do swobodnego przejścia okrętu liniowego. Te piękne skądinąd mury obronne potworzyły baseny żeglowne z kontrolowanymi wlotami – zdającymi egzamin w przypadku stałego poziomu wód Morza Śródziemnego, a które stałyby się bezużyteczne w przypadku istnienia przyptywów. Nowa Darsa była ograniczona od zachodu przez magazyny i park artylerii a na południu, po prawej stronie od wejścia poprzez więzienie – przez małą redę.

Tutaj schodziły się pod kątem prostym dwie budowle: pierwsza, zwrócona na południe, to warsztaty z maszynami parowymi; druga, zwrócona na Starą Darsę, obejmowała kolejno koszary i szpital. Niezależnie od trzech sal-cel, które zamykały budowlę, były jeszcze trzy więzienia pływające. W tych ostatnich przebywali skazańcy z wyrokami terminowymi, podczas gdy skazani na dożywocie zamykani byli we wspomnianych celach.

Jeśli gdziekolwiek nie powinna istnieć równość to właśnie tutaj – na galerach. System karny, wyznaczając karę, dając nam obraz wynaturzenia ducha skazańca, powinien również rozróżniać jego dotychczasową pozycję społeczną i jego pochodzenie! Haniebnie wymieszani byli tu skazańcy wszelkich gatunków, różnego wieku i przeróżnych kar. Z tego żalostnego skupiska nie mogło się wyłonić nic innego jak tylko obrzydliwe zepsucie. Zaraza zbrodni dokonywała pośród tych zgangreniałych mas niebezpiecznego zniszczenia a wszelkie środki zaradcze zostały zniweczone gdy raz zło przeszło do krwi i strawiło inteligencję.

Więzienia były odizolowane, widać je było z najdalszych stron arsenału i z najodleglejszych punktów miasta.

W więzieniu w Tulonie przebywało około cztery tysiące skazańców. Zarządy portu, budownictwo okrętowe, artylerię, magazyn główny, konstrukcje hydrauliczne i budynki cywilne obsługiwało około trzech tysięcy skazanych przeznaczonych do fatygi.³ Inni, którzy nie znaleźli miejsca w tych pięciu głównych oddziałach, służyli w porcie do załadowywania i rozładowywania balastu, holowania statków, odmulania, transportu błota, wyładunku drewna na maszty, wykonywania konstrukcji, itp. Resztę wreszcie stanowili pielęgniarze albo chorzy, pracownicy specjalni, czy w końcu skazani na podwójne łańcuchy – na przykład za próbę ucieczki.

Zegar arsenału wybił wpół do pierwszej kiedy pan Bernardon skierował się w stronę basenów. Port był pusty. Skazańcy, którzy opuścili swoje cele o wschodzie słońca, pracowali do wpół do dwunastej, kiedy to dzwon przywołał ich do pomieszczeń. Każdy dostał 917 gramów chleba albo 300 gramów sucharów morskich oraz 48 centylitrów wina. Skazani na dożywocie weszli na ławki a zbior⁴ natychmiast zakuł ich w łańcuchy, natomiast skazani z łagodniejszymi wyrokami mogli poruszać się swobodnie wzdłuż całego pomieszczenia. Na gwizdek adiutanta wszyscy siedli w kucki wokół menażek zawierających, przez cały rok taką samą, zupę z suszonego bobu. Taki był ich dzień powszedni, a co gorsze, prawo do swojej porcji wina mieli tylko w wyznaczone dni.

Roboty musiały być wznowione o godzinie pierwszej, by móc je zakończyć o ósmej wieczorem, kiedy to prowadzono skazańców do ich więzień, gdzie

znajdowali miejsce spoczynku na lawetach dział – w więzieniach pływających, albo na łózkach polowych – w celach naziemnych, bez dodatkowej ochrony przed zimnem czy twardością posłania, oprócz strzępu zgrzebnej, szarej wełny.

II

Skazańcy nie powinni byli powrócić do robót przed upływem pół godziny. Pan Bernardon skorzystał z ich nieobecności aby przejść się po nabrzeżach, badając rozkład portu, statki z przykrytymi dla ochrony ładowniami, potężne szkielety uwięzione w basenach warsztatów okrętowych, ciężkie odlewy zgromadzone pod dźwigami. Jednak nie zwracał zbyt uwagi na te wspaniałości przemysłu. Bez wątpienia potrzebował poznać kilka detali z życia prywatnego skazańców, ponieważ zbliżył się do jednego z adiutantów i rzekł:

– O której godzinie więźniowie powinni wrócić do portu?

– O pierwszej – odpowiedział mu strażnik.

– Czy wszyscy, bez różnicy, wykonują te same prace?

– Nie, są tacy, którzy pod nadzorem podmajstrów uprawiają rzemiosła szczególne: udają się do warsztatów ślusarskich, powroźniczych, odlewniczych, a tam wymaga się praktycznych umiejętności i, proszę wierzyć, spotyka się tu wspaniałych fachowców.

– Ile mogą zarobić?

– To zależy. Pracują albo na dniówki albo na akord. Dzień pracy może im przynieść od pięciu do dwudziestu centymów. Akord, w zależności od ich wydajności i szybkości, pozwala czasami osiągnąć trzydzieści.

– Ta nieznaczna suma – skwapliwie spytał Marsylczyk – może poprawić ich byt?

– Wystarcza na zakup tytoniu, gdyż, mimo zakazów, tolerujemy palenie. Także, za kilka centymów, mogą czasem otrzymać porcję *ragoût*⁶ lub jarzyn.

– Czy skazani na dożywocie i więźniowie z terminowymi wyrokami otrzymują taką samą zapłatę?

– Płaca jest taka sama dla wszystkich ale tym ostatnim przysługuje dodatkowo jedna trzecia zarobku, którą zatrzymuje się im do zakończenia kary, kiedy to otrzymują całą uzbieraną sumę, aby nie byli kompletnymi nędzarami w chwili opuszczania więzienia.

– Tak, wiem – rzekł pan Bernardon, głęboko wzdychając.

– Proszę mi wierzyć – podjął podoficer – oni nie są tacy nieszczęśliwi i jeśli z własnej winy albo z powodu prób ucieczki nie podwoją swojej kary, to pod względem warunków bytu nie mają się na co skarżyć, w porównaniu z wieloma robotnikami w miastach!

Ten człowiek, grający rolę zatroskanego, nazywa to wręcz dobrobytem!

– Przedłużenie kary więzienia – spytał Marsylczyk nieco zmienionym głosem – nie jest jedynym rodzajem kary, jaka spotyka ich za próbę ucieczki?

– Nie! Jest także kara chłosty, albo zakucie w podwójne łańcuchy!

– Chłosty? – powtórzył pan Bernardon.

– Obejmuje ona od 15 do 60 razy smolistym sznurem przez plecy!

– Czy wykluczona jest jakakolwiek ucieczka skazańca zakutego w podwójne łańcuchy?

– Prawie – odpowiedział podoficer. – Skazańcy są przykuci do nóg ławek i nigdy nie wychodzą, stąd ucieczka jest właściwie niemożliwa!

– To znaczy, że podejmują próby ucieczki najczęściej podczas robót?

– Bez wątplenia! Pary, które tworzą, mimo ciągłego nadzoru, mają pewien rodzaj wolności, niezbędnej do wykonywania robót. Ci ludzie są tak zręczni, że w przeciągu pięciu minut przetną najmocniejszy łańcuch. Jeśli dybel – przynitowany do ruchomej śruby – jest za twardy, zostawiają obręcz wokół nogi i przecinają pierwsze ogniwo łańcucha. Dużo skazańców pracuje w warsztatach ślusarskich a tam znajdują materiały, których im potrzeba. Często wystarcza im blaszka białego żelaza, na której wryto ich numer. Jeśli uda im się zdobyć sprężynę z zegara – nie trzeba długo czekać na wystrzał alarmowej armaty! Ostatecznie mają tysiące sposobów na to, by się stąd wyrwać. Raz jeden skazaniec – aby uchronić się przed chłostą – sprzedał nam dwadzieścia dwa sposoby uwolnienia się!

– A gdzie mogą chować swoje narzędzia?

– Wszędzie i nigdzie. Jeden ze skazańców ponacinał sobie szczeliny pod pachami i wsunął pomiędzy skórę i ciało małe kawałki stali. Ostatnio zatrzymałem jednemu skazańcowi słomiany kosz, w którym każde włókno zawierało niedostrzegalne pilniczki i piłki. Nie ma rzeczy niemożliwych dla ludzi, którzy nazywają się Mały, Collogne albo hrabia Świętej Heleny!

W tym momencie wybiła godzina pierwsza. Podoficer zsalutował panu Bernardonowi i udał się na swój posterunek.

– Nadzieja i sprawiedliwość! – powiedział do siebie kupiec. – A jeśli mi się nie powiedzie?! Wielki Boże! Chłosta! Podwójne łańcuchy!

Skazańcy, pod nadzorem strażnika, wychodzili z więzienia – jedni sami, inni połączeni w pary.

Port rozbrzmiewał gwarem głosów, dźwiękami żelaza, pogroźkami argusów.⁶ Pan Bernardon, głęboko przejęty, uważając, by podczas odwiedzin tych nieszczęśników nie okazać zbytniego pośpiechu, skierował się w stronę parku artylerii.

Tam znalazł obwieszczenie zawierające – jak we wszystkich tego rodzaju placówkach – kodeks kar więzienia:

Będzie skazany na śmierć – każdy więzień, który uderzy urzędnika, zabije

swojego towarzysza, zbuntuje się lub bunt sprowokuje.

Będzie skazany na trzy lata podwójnych łańcuchów – każdy “skazany na dożywocie”, który podejmie próbę ucieczki; i na karę do trzech lat przedłużenia kary – każdy “skazany na czas określony”, który popełni to samo przestępstwo; i na przedłużenie kary na dożywotnią – każdy skazaniec, który ukradnie sumę wyższą niż 5 franków.

Będzie skazany na chłostę – każdy skazany, który będzie piłował swoje łańcuchy lub spróbuje uciec przy pomocy jakiegokolwiek innego środka; ten, u którego znajdzie się przebranie; ten, który ukradnie poniżej 5 franków; który się upije; który uprawiał będzie hazard; który będzie palił w porcie lub w pomieszczeniach; który sprzeda lub zniszczy swoje łachmany; który będzie pisał bez pozwolenia; który będzie posiadał więcej niż 10 franków; który będzie bił współwięźnia; który odmówi pracy; który odmówi posłuszeństwa; który będzie niesubordynowany.

Marsylczyk, po przeczytaniu regulaminu, stał pogrążony w zamyśleniu, z którego wyrwało go nadejście galerników. Port dudnił aktywnością. Przydzielano prace we wszystkich jego punktach. Dookoła dało się słyszeć pijackie głosy majstrów wydających komendy:

- Dziesięć par do Saint Mandrier!⁷
- Piętnaście skarpet do powrozowni!
- Dwadzieścia par do masztów!
- Wsparcie sześciu czerwonych do basenu!

Wezwane pary kierowały się do wyznaczonych miejsc, poganiane obelgami adiutantów, albo jeszcze częściej – budzącymi strach kijami. Marsylczyk przypatrywał się im uważnie – szczególnie chciał rozpoznać ich numery identyfikacyjne. Jedni stawali do załadowanych ciężko wózków, inni transportowali na ramionach ciężkie elementy konstrukcji i układali je w stosy, pozostali uprzęтали drewniane belki albo ciągnęli linkami holowniczymi kadłuby statków. Tymczasem słońce zalewało ich piekącym żarem.

Więźniowie byli jednakowo odziani w czerwone kaftany ze zgrzebnej wełny, kamizelki tego samego koloru i spodnie z szarego grubego materiału. Skazani na dożywocie nosili czapki koloru zielonego i zatrudniani byli przy najcięższych pracach, gdzie nie wymagano fachowców. Skazani, tak zwani *podejrzani*, z powodu ich przebiegłości bądź licznych prób ucieczek, nakrywali głowy zielonymi czapkami z szerokim, czerwonym otokiem. Czapki całkowicie czerwone wskazywały więźniów z wyrokami terminowymi i tym ostatnim pan Bernardon rzucał pośpieszne spojrzenia. Każda czapka miała przyczepiony kawałek białej blaszki z numerem identyfikacyjnym skazańca.

Niektórzy galernicy, skuci parami, mieli na sobie od ośmiu do dwudziestu dwóch funtów⁸ żelaza. Łańcuch wznosił się od stopy jednego skazańca do jego pasa a następnie spadał do ziemi, by znów wznieść się do pasa i opaść do stopy następnego więźnia. Ci nieszczęśnicy przezywali się *kawalerami girlandy*! Inni, którzy poruszali się pojedynczo, nosili tylko jedną obręcz i kawałek łańcucha dziewięcio- lub dziesięciofuntowego, albo tylko samą obręcz nazywaną *skarpetą*, ważącą od dwóch do czterech funtów. Kilku podejrzanych miało jedną stopę uwięzioną w *dyscyplinie* – okuciu w formie trójkąta, nitowanym na szczytach i skonstruowanym tak, że zaciskał się przy

każdej próbie uwolnienia się.

Pan Bernardon wypytywał to galerników, to strażników, jednocześnie bacznie obserwując wszystkie inne wykonywane prace. Czasami na jego usta cisnęło się pytanie, którego nie śmiał wypowiedzieć. Oczywiście chciał za wszelką cenę rozpoznać jednego więźnia spośród tych nieszczęśników, dlatego nagle zawładnęła nim gorączka niecierpliwości.

Oto rozpościerał się przed nim rozdzierający duszę obraz oprawiony w ramy prawa i sprawiedliwości, przedstawiający na tle smutnej codzienności panoramę degradacji i ludzkich cierpień! Namalowało go przeznaczenie, które spotkało na palecie zbrodni tylko te najbardziej posępne kolory! Ale przejęty tym widokiem odwiedzający nie zastanawiał się dłużej nad całością. Pośród tego tłumu szukał kogoś, kto go zupełnie nie oczekiwał!

Był to *numer 2224*. Z jego nazwiska i pochodzenia nie pozostawiono mu już nic. Tylko jeszcze tych kilka obelżywych cyfr – nędzne imię chrzestne, którym więzienie ozdabia swoje dzieci! – łączyło go ze światem, lokując go jednak w tej jakże haniebnej kaście skazańców.

Mimo poszukiwań panu Bernardonowi nie udało się odszukać numeru 2224. Kupiec zwrócił się więc do strażnika z zapytaniem, czy został on może z jakichkolwiek przyczyn zatrzymany w więzieniu.

– Och nie! – odpowiedział zagadnięty. – Obraca kabestanem!

– Jakim jest człowiekiem?

– Proszę mi wierzyć, jest bardzo uciążliwym więźniem. To *powracający koń*.

Takie określenie wskazywało, że skazaniec znajdował się po raz drugi na galerach.

– Jeśli chce pan z nim rozmawiać – podjął adiutant – znajdzie go pan przy maszcie.

Pan Bernardon skierował się tam szybko i zauważył człowieka z numerem 2224, który przygotowywał właśnie jeden z drągów. Marsylczyk nie spuszczał już z niego wzroku a wkrótce jego oczy zaszyły łzami.

III

Numer 2224 był mężczyzną około lat trzydziestu, solidnie zbudowanym. Jego twarz była szczerą i tchnęła raczej inteligencją człowieka honoru niż kryminalisty. Na obliczu tego człowieka malowało się głębokie zrezygnowanie; nie było to jednak oglupienie, gdyż od czasu do czasu w przynębionych oczach zapalały się jakby iskierki. Ta wewnętrzna energia winna być skierowana ku czemuś pożytecznemu. W regularności rysów tego nieszczęśnika nie można się było doczytać powołania do zbrodni, a tylko odpowiednie wykształcenie, które powinno nieuchronnie zaprowadzić go ku dobru.

Więzień skuty był z dużo starszym od siebie skazańcem, mocno z nim

kontrastującym – bardziej zatwardziałym i bestialskim. Na twarzy przygnębionego, starego aresztanta odcisnęła swe piętno świadomość winy! Niegodny i obrzydliwy związek, który tworzy potężną solidarność winowajców! Skąd pochodzi to fatalne prawo, które dobre natury, stawiając na równi ze złymi, prowadzi je na stracenie? Dlaczego zło jest robakiem drążącym dobro?

Pracujące pary zajęte były w tym momencie stawianiem grotmasztu nowo powstającego statku. Aby dopomóc swoim wysiłkom, więźniowie śpiewali piosenkę *Wdowa*. Wdowa – to gilotyna, wdowa po tych wszystkich, których zabija!

Och! och! och! Jean-Pierre, och!

Oporządź się!

Oto! oto! Golibroda! och!

Och! och! och! Jean-Pierre, och!

Oto wózek!

Ach! ach! ach!

Czas kosić szyje!

Jakaż egzystencja! Jakie myśli! Jaki horyzont – wypełniony przez galery i szafot!

Pan Bernardon oczekiwał cierpliwie aż prace zostaną przerwane. Wreszcie nadszedł moment, w którym pary, korzystając z chwili przerwy, jaką im przyznano, udały się na odpoczynek. Starszy z dwóch skazańców rozciągnął się na ziemi, młodszy zaś – cichy i ponury – wsparł się na ramionach kotwicy.

Marsylczyk zbliżył się do niego.

– Mój przyjacielu – rzekł serdecznie – chciałbym z panem pomówić.

Numer 2224 zbliżył się do pytającego a ruch łańcucha wyrwał starego galernika z drzemki.

– Hej, no, zatrzymasz się, czy pozwolisz, aby zacisnęły nas *lisy*?!

– Zamknij się Romain! Chcę porozmawiać z tym panem.

– Kiedy mówię ci, że nie!

– Daj trochę swojego łańcucha!

– Nie! Trzymam swoją połowę!

– Romain! Romain! – odparł *numer 2224*, zaczynając się złościć.

– Dobrze, zagrajmy – rzekł Romain i wyciągnął z kieszeni talię kart.

– Zaczyna się – mruknął młody skazaniec.

Łańcuch więźniów składał się z osiemnastu sześciocalowych ogniw. Każdy miał ich po dziewięć i tylko w takim promieniu mógł się cieszyć swobodą ruchów. Dwaj przeciwnicy byli w pułapce. Toczyła się między nimi gra o stawkę, która demaskowała rozpaloną chciwość jednego z nich. Do swojej rozmowy wplatali niezrozumiałe słowa.

Pan Bernardon zbliżył się do Romaina.

– Chcę kupić pańską część łańcucha – rzekł do niego.

– Będzie się mi opłacało?

Kupiec wyjął z kieszeni pięć franków.

– Pięć okrągłaków! – krzyknął stary galernik. – Załatwione!

Rzucił się na pieniądze, które natychmiast zniknęły nie wiadomo gdzie. Rozwinął następnie łańcuchy, które poprzednio zwinął przed sobą, powrócił na swoje miejsce i położył się, odwracając się plecami do słońca.

– Czego więc pan sobie życzy? – spytał Marsylczyka młody skazaniec.

Ten przyglądał mu się przez chwilę uważnie i rzekł:

– Nazywa się pan Pierre-Jean. Odsiedział pan pięć lat na galerach za kradzież. Trzy lata temu, po zakończeniu kary, został pan zwolniony, ale wkrótce został pan ponownie skazany na dziesięć lat zakucia w kajdany.

– To prawda! – odparł Pierre-Jean.

– Jest pan synem Jeanne Renaud.

– Moja biedna matka – rzekł skazany żałośnie. – Proszę, niech pan o niej nie mówi! Ona nie żyje!

– Nie żyje od dwóch lat – dodał pan Bernardon.

– Tak, i będę pracować zawzięcie, gdyż chcę mieć za co kupić nagrobek biednej Jeanne Renaud.

– Ona ma już na grobie piękną, marmurową płytę – odpowiedział kupiec.

– I otaczają ją zielone drzewa?

– Tak, Pierre-Jeanie!

– Och! Dziękuję! Ale kim pan jest?

– Niech pan posłucha, musimy uważać i nie rozmawiać zbyt długo.

Proszę, niech się pan przygotuje, za dzień lub dwa, do ucieczki. Niech pan za wszelką cenę kupi milczenie swojego kompana. Proszę mu obiecać wszystko, dotrzymam pańskich obietnic. Jak będzie pan gotowy, otrzyma pan narzędzia potrzebne do uwolnienia się, ponieważ tutejsze mogłyby pana zawieść. Żegnaj, Pierre-Jeanie!

Marsylczyk zostawił skazanego, oszołomionego tym, co usłyszał, i kontynuował spokojnie swoją wizytację. Obszedł jeszcze kilka miejsc, zobaczył dwa warsztaty, by następnie powrócić do swojego powozu. Konie zawiozły go prosto do hotelu.

Pierre-Jean natomiast nie otrząsnął się jeszcze ze zdziwienia. Skąd pochodził ten mężczyzna, znający tak dobrze różne okoliczności jego życia? A propos czego mówił o jego matce? Dlaczego Jeanne Renaud miała piękny grób, otoczony drzewami? Jaki cel mógł mieć ten człowiek w uwolnieniu go?

Przypuśćmy, że zdecyduje się na zaoferowaną propozycję i podejmie przygotowania do ucieczki. Najpierw musi poinformować swojego współtowarzysza o swoich zamiarach – rzecz to niezbędna, ponieważ więzy, jakie ich łączą, nie mogą być zerwane bez wiedzy obydwu. Może Romain zechce skorzystać z możliwości ucieczki, a co za tym idzie – zmniejszy szanse jej powodzenia?

Ten stary skazaniec – zakuty w kajdany – miał do odbycia jeszcze tylko osiemnaście miesięcy kary. Pierre-Jean, informując go o swych zamiarach, usiłował więc udowodnić mu, że w tak krótkim okresie i tak ryzykuje zwiększeniem wyroku.

Romain, czując pieniądze, nie chciał przyjąć do wiadomości żadnych argumentów swego kolegi. Dopiero, jak ten zaczął mówić o kilku tysiącach franków, których mógłby oczekiwać po wyjściu z więzienia, stary stał się głuchy na szept własnego ja i coraz chętniej przystawał na propozycje Pierre-Jeana. Problemem jednak stał się sposób zapłaty. Po licznych naradach, w których Romain gardził wszystkimi obietnicami, a nawet danym słowem honoru, dał się wreszcie przekonać, że dostanie w formie zaliczki kilka diamentów. Pierre-Jean zobowiązał się także podnieść obiecaną wcześniej sumę o ich wartość.

Teraz zaczął się zastanawiać nad sposobem ucieczki. Musiał opuścić port, nie będąc przy tym zauważonym, a więc uciekając wyćwiczonym spojrzeniem funkcjonariuszy i strażników więziennych. Powinien działać brawurowo czy też raczej użyć podstępu? A może jednego i drugiego jednocześnie! Gdy znajdzie się we wsi, zanim dotrze tam pościg żandarmerii, łatwo przekona do siebie wieśniaków, którzy, mimo że w nadziei uzyskania nagrody staną się bardziej podejrzliwi, nie oprą się z pewnością urokowi dużej sumy pieniędzy, którą im zaoferuje.

Pierre-Jean wybrał noc jako najlepszą porę do realizacji swoich planów. Będąc skazańcem z wyrokiem terminowym, zamiast być uwięzionym w jednym ze starych statków, które tworzyły więzienia pływające, wyjątkowo był zamknięty w jednej z cel więziennych. Wyjść stamtąd było bardzo trudno, najważniejszym więc było tam nie wrócić. Ponieważ nie mógł śnić o opuszczeniu więzienia inną drogą niż morską, pewną szansę na powodzenie ucieczki dawały prawie wymarłe redy. Gdy uda mu się dobrnąć do brzegu – należeć będzie do swojego opiekuna, a ten wskaże mu dalszą drogę.

Tak oto w swych rozważaniach Pierre-Jean postanowił liczyć na nieznajomego. Zdecydowany był oczekiwać jego rad. Przede wszystkim zaś chciał się dowiedzieć, czy dotrzyma on wszystkich obietnic danych Romainowi. Biorąc pod uwagę zniecierpliwienie skazańca, czas jego płynął bardzo wolno.

Następnego dnia Marsylczyk przyszedł prosto do niego.

– I jak?

– Wszystko postanowione, panie, i jeśli życzy pan sobie być mi pomocnym, wszystko pójdzie dobrze.

– Czego panu potrzeba?

– Obiecałem memu towarzyszowi, po wyjściu z galer, trzy tysiące franków.

– Będzie je miał! Dalej?

– Ale on chce czegoś bardziej pewnego niż zwykła obietnica i domaga się diamentów jako zadatku.

Pan Bernardon rozejrzył się, czy nie jest obserwowany, i upuścił brylantową szpilkę pod nogi starego skazańca, który błyskawicznie ją schował. W tym samym czasie rzucił mały woreczek Pierre-Jeanowi.

– Oto – rzekł – złoto i najlepszy, hartowany pilnik.

– Dziękuję panie. Gdzie mam się ukryć?

– W okolicy Notre-Dame-des-Maures,⁹ w górach.

– Dobrze!

- Kiedy pan wyruszy?
- Dziś wieczorem. Wpław!
- Dobrze! Proszę postarać się dotrzeć najpierw do przylądka Garonne.¹⁰ Tam znajdzie pan potrzebne przebranie. Odwagi i ostrożnie!
- I dobrej orientacji – dodał Pierre-Jean.

Skazańcy wrócili do pracy. Pan Bernardon, zimny i niewzruszony, przypatrywał się uważnie wykonywanym robotom, rozmawiał długo z dwoma sławnymi galernikami, którzy brali go za wielkiego filantropa.

IV

Pierre-Jean starał się za wszelką cenę sprawiać wrażenie najspokojniejszego z więźniów, ale dobrego obserwatora uderzyłoby – wbrew wszelkim staraniom – jego niezwykle poruszenie. Miłość do wolności rozsądzała jego serce i co rusz zapalała nowe nadzieje, które starał się ukrywać, udając pozorną rezygnację. Do pracy przystąpił z niebywałym zapałem. Zdradził się nieomal, wykazując przy tym zbyt dużo dobrej woli. Obojętność byłaby dla niego najlepszą maską.

Wymyślił, że aby ukryć swoją nieobecność podczas wieczornego wejścia do celi, jego miejsce u boku kompana od łańcucha zajmie inny więzień. Jeden z galerników, przeżywanych przez obręcz opasującą jego nogę – *skarpetą*, mający zaledwie kilka dni do zakończenia kary, i jako taki bez pary, za trzy sztuki złota zgodzi się na przypięcie łańcucha Pierre-Jeana, gdy tylko ten ostatni się z niego uwolni.

Okolo siódmej wieczorem Pierre-Jean skorzystał z chwili odpoczynku, aby przepiłować swoje okucie. Dzięki doskonałości pilnika, bądź też specjalnemu jego doborowi do rodzaju stopu, z którego wykonana była obręcz, uwolnił się bardzo szybko. Na chwilę przed wejściem do cel, po upewnieniu się, że *skarpetą* zajął jego miejsce, przycupnął za stosem drewna.

Tuż za nim znajdował się potężny kocioł przeznaczony dla jednej z fregat parowych. Wystawiono go przed warsztat, aby wyschnął. Ten obszerny zbiornik usadowiony był na podstawie a otwory palenisk oferowały skazańcowi bezpieczne schronienie. Korzystając z nadarzającej się okazji, Pierre-Jean wślizgnął się doń bezszelestnie, zabierając po drodze rodzaj czapki z wydrążonymi otworami, wydłubanej z kawałka belki. Czekał.

Zapadła noc. Zegar wybił godzinę ósmą i skazańcy, porzucając roboty, skierowali się do swoich więzień pod kontrolą strażników. Niebo zasnuwane chmurami potęgowało ciemności i wspierało Pierre-Jeana. Kiedy arsenał opustoszał, wyszedł on ze swojej kryjówki i, czołgając się po cichu, posuwał się wzdłuż basenów warsztatów okrętowych, gdyż nie mógł przejść obok budynków więzienia. Z drugiej strony redy pogrążał się w ciemnościach półwysep Cepet.¹¹ Kilku adiutantów błąkało się jeszcze tu i ówdzie. Pierre-Jean zatrzymywał się co chwila i krył się w ciemnych zagłębieniach. Na szczęście mógł zerwać z siebie całe to

żelastwo i teraz jego ruchy były ciche i nieskrępowane.

W końcu dotarł do morza od strony Nowej Darsy, niedaleko od wejścia, które dawało dostęp do redy. Ze swego rodzaju czapką z drewna w ręce zsunął się po długiej linie i zniknął bezgłośnie pod falami.

Kiedy wypłynął z powrotem na powierzchnię, zręcznie założył swe dziwne nakrycie głowy. W ten sposób zniknął pod nim całkowicie a przygotowane otwory pozwalały mu na swobodną orientację. Można go było teraz wziąć za dryfującą boję.

Nagle rozległ się armatni wystrzał.

“To na zamknięcie portu” – pomyślał.

Po chwili dało się słyszeć drugą i trzecią salwę!

“Działo alarmowe! Moja ucieczka została odkryta! Odwagi!” – pomyślał Pierre-Jean i, omijając z wielką ostrożnością statki i łańcuchy kotwiczne, zbliżył się od strony prochowni Millau do małej redy.

Morze było trochę wzburzone, ale dobry pływak, jakim się czuł, mógł płynąć bardzo daleko. Zrzucił z siebie gwałtownie krępujące ruchy ubranie. Malutki woreczek ze złotem miał uwiązany na szyi.

Dotarł bez przeszkód na środek małej redy i, wspierając się na jakimś przedmiocie – rodzaju metalowej boi, zdjął ostrożnie z głowy osłaniającą go czapkę.

– Uf! – westchnął. – Ten spacer był jedynie igraszką w porównaniu z tym, co mam jeszcze do pokonania. Na pełnym morzu nie muszę się obawiać, że kogoś spotkam, ale najpierw trzeba pokonać przesmyk, omijając niezliczoną ilość małych statków, udających się do fortu Aiguillette.¹² To dopiero będzie diabelski wyczyn, jeśli im ucieknę. Na razie zorientujmy się w położeniu i nie mieszajmy do tego diabła, dopóki go tu nie ma.

Pierre-Jean, poprzez prochownię Goubnin i fort Saint-Louis, namierzył właściwy kierunek. Powinien uciekać w linii prostej. Żeby nie zostać zauważonym przez jedną ani drugą stronę, musiał wybrać sam środek przejścia.

Z głową osłoniętą swym aparatem, płynął bardzo cicho. Zerwał się wiatr, który zagłuszając wszelkie groźne odgłosy, mógł zwieść bystrość jego słuchu. Był bardzo czujny i miał na uwadze kilka ważnych posunięć, które musiał wykonać, aby opuścić Małą Redę. Posuwał się powoli i ostrożnie, tak aby nie stracić osłaniającej go fałszywej boi.

Upłynęło pół godziny. Obliczył, że zbliżył się już do przejścia, gdy nagle wydało mu się, że po swojej lewej stronie słyszy plusk wioseł. Zatrzymał się, nastawił uszu i czekał.

– Hej! – krzyknięto z łodzi. – Macie coś nowego?

– Nic! – doleciało z szalupy przepływającej z prawej strony uciekiniera.

– Nigdy go nie znajdziemy!

– Na pewno uciekł morzem?

– Bez wątpienia! Wyłowiono jego ubranie.

– W ten sposób możemy dotrzeć aż do Indii!

– Śmiało! Płyniemy dalej.

Łodzie rozdzieliły się. Pierre-Jean był więc ścigany. Korzystając z faktu, że łodzie marynarki oddaliły się, zaryzykował kilka sążni gwałtownych i wydłużonych ruchów i uciekł szybko w stronę przesmyku, walcząc z falami i potęgującą się rozpaczą.

“Och! gdybym tak już był na pełnym morzu!” – myślał.

Czy można wyobrazić sobie przerażające położenie tego człowieka? Pełne morze! Przecież to pewna śmierć, a on ją wolał od galer. Jakiż upór! Jakaż to siłę charakteru można znaleźć czasami u takich nieszczęśników! Mówi się zwykle, że tak duża energia połączona z dobrem potrafi dokonać wielkich rzeczy. Tak, ale jest to rodzaj siły nadprzyrodzonej. Aby ją wyzwolić, trzeba czegoś niesamowitego, jak choćby pragnienia odzyskania wolności.

Ten sam człowiek, który w tak szczególnym momencie potrafił dawać z siebie tak wiele, w życiu codziennym okazałby się może słaby, bierny i bezsilny. Społeczeństwo odepchnęło tego nieszczęśnika. W więzieniu był obrażany i poniżany. Szok, jaki przeżył, zrodził teraz tryskającą energią pasję.

Od czasu do czasu krzyki docierały do uszu Pierre-Jeana. Łodzie nasilały poszukiwania na redzie i szczególnie koncentrowały swoją uwagę na przesmyku.

Pierre-Jean ciągle płynął!

– Raczej się utopię, niż dam się im złapać! – mówił do siebie.

Wielka wieża i fort Aiguillette rysowały się już przed jego oczami. Na brzegu – jak gwiazdy złej przepowiedni – poruszały się szybko pochodnie. Postawiono więc na nogi brygady policji. Uciekinier zwolnił biegu i pozwolił się pchać wiatrowi ze wschodu i falom, które unosiły go w stronę morza.

Nagle błysk oświetlił morze i Pierre-Jean dostrzegł wokół siebie trzy czy cztery szalupy z zapalonymi pochodniami. Przestał się poruszać. Jeden zły ruch mógł go zgubić.

– Hej, tam!

– Nic!

– Czy sprawdzano od strony Lazaret?

– I od strony baterii?

– Żołnierze marynarki są uprzedzeni.

– W ten sposób nie mógł wylądować na wybrzeżu.

– Niemożliwe!

– W drogę!

Pierre-Jean odetchnął. Łodzie były nie dalej niż dziesięć sążni od niego. Był zmuszony płynąć w pozycji pionowej.

– Patrz! Co tam jest? – krzyknął jeden z marynarzy.

– Co?

– Ten czarny punkt, który płynie!

- Między nami?
- Tak!
- To nic! To tylko dryfująca boja.
- No dobra, złapcie ją!

Pierre-Jean był gotów nurkować, gdy w tej samej chwili rozległ się gwizdek podmajstra.

– W drogę dzieci! Mamy coś lepszego do roboty niż wyławianie boi. Naprzód!

Łodzie kontynuowały poszukiwania. Nieszczęśnik odzyskał równowagę. Jego wybieg nie został odkryty! Wróciły mu siły i odwaga.

W dali wznosiła się czarna masa.

“Co to? – myślał. – Wieża Balaguier! Będę uratowany jeśli tam dotrę. Ale gdzie ja jestem?”

Odwrócił się i rozpoznał fort Saint-Louis.

– To naprawdę ta wieża! Po minięciu stanowisk dział będę na wielkiej redzie. Och! Wolność! Wolność!

Nagle znalazł się w głębokich ciemnościach. Jakiś nieprzenikniony obiekt zasłonił jego oczom widok fortu! Jedna z ostatnich szalup potrafiła go i wskutek uderzenia zatrzymała się. Któryś z marynarzy wychylił się za burtę.

– To tylko boja – rzekł. – W drogę!

Łódź ruszyła. Lecz cóż za pech! Jedno z wiosł uderzyło w fałszywą boję, przewróciło ją i, zanim uciekinier zdążył pomyśleć o ucieczce, jego ogolona głowa ukazała się na powierzchni wody!

– Mamy go! – krzyknęli marynarze. – Hej, tutaj!

Pierre-Jean zanurkował i, nim gwizdek wezwał porzrzuć łodzie, płynął już w stronę plaży Lazaret. Oddalał się także od miejsca spotkania, ponieważ plaża ta usytuowana była po lewej stronie wejścia do dużej redy, podczas gdy przylądek Garonne przesuwiał się z prawej strony. Ale on miał nadzieję zmylić pościg, kierując się w stronę najmniej sprzyjającą jego ucieczce.

Tymczasem powinien był już dotrzeć do miejsca, które wyznaczył mu Marsylczyk. Po przepłynięciu kilku sążni w przeciwną stronę, powrócił na swój kurs. Łodzie krążyły wokół niego. Co chwila nurkował, aby nie zostać zauważonym. W końcu jego udane manewry zdeorientowały pościg. Trzeba było nie lada wysiłków, aby to osiągnąć! Pierre-Jean czuł się bardzo wyczerpany. Tracił siły, jego oczy zamykały się wielokrotnie, doznawał licznych zawrotów głowy. Jego ręce słabły a ociężałe nogi pogrążały się w otchłani. Ale opatrność i fale, litując się nad nim, wyrzuciły go zemdłego na brzeg przylądka Garonne.

Kiedy odzyskał przytomność, jakiś człowiek pochylał się nad nim i dał mu następnie do wypicia kilka łyków wódki.

– Jest pan uratowany – rzekł do uciekiniera. – Odziany w to ubranie i perukę dotrze pan swobodnie do Notre-Dame-des-Maures i dalej, do gór Anti. Niech pan rusza szybko! Ja zapalę pochodnię i będę pilnował plaży. Nikt nie będzie przypuszczał, że dotarł pan tutaj.

Pierre-Jean rzucił się we wskazanym kierunku. Po pewnym czasie padł na

kolana, pomodlił się za swoją matkę, i uciekł w pośpiechu dalej.

V

Kraj położony na wschód od Tulonu, nastroszony górami i pokryty drzewami, porysowany wąwozami i strumykami, oferował uciekinierowi liczne możliwości ocalenia. Te tereny, wcześniej często przez niego przemierzone, jakże różniły się od nieznanymi i obcych, które był właśnie pokonał. Już nie rozpaczał nad beznadziejnością szans na ocalenie i rozmyślał raczej o swym wspaniałomyślnym wybawcy, nie mogąc odgadnąć celu jego postępowania. Czyżby Marsylczyk, potrzebując człowieka przedsiębiorczego, zdecydowanego na wszystko, z sercem na dłoni, musiał szukać go aż na galerach? W każdym razie Pierre-Jean poprzysiągł sobie na wszystko, że tak jak teraz umknął galerom, tak w przyszłości nie przyjmie żadnych niegodnych propozycji ani nie skala się żadnymi złymi czynami.

Była dziesiąta wieczór, kiedy zapuścił się w góry Garonne. Omijał utarte drogi, rzucając się do fos i zagajników za każdym razem, kiedy pośród ciszy słyhać było ludzkie kroki, bądź jadące wozy. Używał wszystkich środków ostrożności, jakimi posługują się zwykle złoczyńcy zamierzający zbrodnię. Tyle że jego ostrożność była przyzwoita. Chociaż przebranie czyniło go nierozpoznawalnym, obawiał się bliższej kontroli oraz tego, że jego miejscowy ubiór mógł jednak zawierać obce elementy. Co więcej, brygady żandarmerii zostały postawione na nogi przez działo alarmowe. Zbiegły więzień dostrzegał więc nieustępliwego wroga nawet w osobie każdego wieśniaka, tym bardziej że troska o własne bezpieczeństwo i motywy finansowe dodają ostrości ich spojrzeniom, szybkości ich nogom i siły ich rękoma. Jeśli ktokolwiek dostrzeże uciekiniera, natychmiast go rozpoznaje, gdyż jest on w pewnym sensie kaleką, fizycznym lub moralnym: bądź, przyzwyczajony do ciężaru kuli, wlecze za sobą lewą nogę, bądź też na jego twarzy maluje się zdradliwe zmieszanie.

Tymczasem Pierre-Jean przybył cały i zdrowy do Grande-Bastide. W oberży, do której wszedł ostrożnie, podano mu butelkę wina i plaster słoniny. Sumiennie zapłacił swój rachunek grubymi solami,¹³ zachowując pewność siebie przed oberżystą. Obawiając się sennaści, podjął dalszą wędrówkę. Przez jakiś czas szedł drogą wiodącą do Saint-Vincent ale, obawiając się niebezpieczeństw, zostawił ją po swej prawej stronie i, nie spotykając żywego ducha, dotarł do miasteczka Roubeaux, które postanowił również ominąć.

Przez pewien moment, dręczony obawami, nie zamierzał stawić się na umówione miejsce spotkania, ale w końcu zaufanie wzięło górę nad wątpliwościami. Wspinając się w kierunku północnym, a pozostawiając Hyeres po swej prawej stronie, wszedł po raz drugi w góry.

Zaczął wschodzić dzień. Odtąd nie powinien więc dać się skontrolować, unikać przenikliwych spojrzeń; powinien zaś iść wzdłuż głównych dróg i wyglądać możliwie najprzyzwoiciej. Poprawił perukę i zaplątał sweter, ruszył przeto przed siebie pewnym krokiem.

Był pochłonięty myślami, kiedy nagle wydało mu się, że słyszy tętent końskich kopyt. Wszedł na skarpę, aby się rozejrzeć, jednak łuk drogi na to nie pozwalał. Nie mógł jednak przecieżyć się pomylić. Przyłożywszy ucho do ziemi, uchwycił wyraźnie dźwięk, który go przeraził.

Nagle, nim zdążył się podnieść, trzech wieśniaków rzuciło się na niego. W jednej chwili został przez napastników zakneblowany, związany i siłą postawiony na nogi.

W tej samej chwili pojawiło się na drodze dwóch żandarmów na koniach. Podeszli do wieśniaków, z których jeden rzekł:

– Zbiegły więzień, panie żandarmie. Zbiegły więzień, którego właśnie schwytaliśmy!

– Och! Och! – rzekł jeden z żandarmów. – To ten z dzisiejszej nocy?

– Możliwe, ale, ten czy inny, mamy go!

– Czeka was nagroda!

– Słowo daję, nie odmówimy! Jego ubranie nie jest własnością więzienia i je też dostaniemy – dodatkowo, bez targowania.

– Czy potrzebujecie pomocy? – spytał jeden z żandarmów.

– Ach! Do licha, nie! Jest solidnie związany i damy radę doprowadzić go sami.

– Tym lepiej – odpowiedział żandarm – bo my mamy swój wyznaczony szlak a to by nam przeszkodziło.

– Chodźmy! Do widzenia i powodzenia!

Żandarmi udali się w swoją drogę, a wieśniacy wybrali kierunek przeciwny. Pierre-Jean był zdruzgotany i bezwiednie stawiał kroki. Związany i zakneblowany, nie miał nawet szans aby spróbować przekupić swych strażników. Kiedy żandarmi zniknęli, wieśniacy, opuszczając główną drogę, wybrali mało uczęszczane dróżki. Po długim marszu, podczas którego nie zwrócili się ani jednym słowem do Pierre-Jeana, dotarli do rzeki Gapeau. W czasie gdy przepawali się przez nią promem, nieszczęsny uciekinier chciał rzucić się do wody, ale powstrzymany silnymi rękami musiał zrezygnować z jakichkolwiek prób samobójstwa.

Wieśniacy również omijali główne drogi i wkrótce znaleźli się w samym środku gór. Pierre-Jean nic nie rozumiał z ich postępowania. To były góry Anti. Oddalali się więc od Tuluzy i powinni zbliżyć się już do Notre-Dame-des-Maures. W efekcie tego stało przed nimi miasteczko Test des Canneaux. Obeszli je i powrócili na główną drogę. Stał tam jakiś mężczyzna i sprawiał wrażenie, że ich oczekuje. Zaprowadzono do niego Pierre-Jeana. Był to pan Bernardon. Więzień chciał uczynić jakiś gest, ale Marsylczyk szedł przodem, przewodząc całej trójce, która już wkrótce dotarła do małego domku oddalonego nieco od miasteczka Notre-Dame-des-Maures.

Pierre-Jean został wepchnięty do niskiego pomieszczenia, w którym zastał starą kobietę. Za nim wszedł pan Bernardon i trzech wieśniacy. Uciekiniera oswobodzono z więzów.

– Dlaczego jestem pilnowany? To źle, panie – rzekł do Marsylczyka.

– Ci ludzie są mi oddani – odpowiedział pan Bernardon. – Gdyby nie ich fortel z prowadzeniem pana do Tuluzy, żandarmi zatrzymaliby pana i byłby

pan zgubiony!

Pierre-Jean już nic nie rozumiał. Pan Bernardon dał znak, aby usiadł i rzekł do niego:

– Proszę posłuchać. Trzy lata temu Pierre-Jean wyszedł z więzienia po zakończeniu swojej kary – był skazany na pięć lat galery. W końcu i dla niego wybiła godzina wolności. Zaopatrzony w paszport, ubrany w spodnie z sukna, nową koszulę i czapkę, opuszczał więzienie prawie tą samą drogą co dzisiaj. Całą jego fortunę stanowiło pięćdziesiąt franków – mała sumka, którą ciął grosz po groszu. Wychodząc na wolność, z pewnością nie miał złych zamiarów. Zgubił się po drodze i stracił jeden dzień na rozważania. Surowa kara, jaką odbył, nie mogła go zmienić ani nim zawładnąć. Różnego rodzaju przestępstwa, z którymi się zetknął w więzieniu, pozwoliły mu powziąć kilka stanowczych postanowień: chciał zobaczyć swoją starą matkę, utrzymywać ją swoją pracą i kochać z całego serca. I tak jego kroki stawały się coraz żywsze i weselsze, ponieważ oddalały go od więzienia i zbliżały do domu. Tylko rumienił się za każdym razem, kiedy żandarmi zmuszali go do rozwijania żółtego paszportu, którego okazywania domagało się zbyt okrutne prawo. Po długim marszu, kiedy dotarł do miasteczka Notre-Dame-des-Maures, zatrzymał się w tym samym domu co dzisiaj. Znajdowała się w nim stara kobieta – oto i ona! Płakała samotnie w kącie i, rozpaczając, wyrwała włosy z głowy. Pierre-Jean chciał poznać przyczynę jej bólu: “Niestety, mój syn jest bardzo daleko, wyjechał za ocean, aby się wzbogacić a mnie przysporzyć cierpień. Od jego wyjazdu na moją głowę spadają same nieszczęścia: wzrosły opłaty, przyszła pora złych zbiorów i dług w wysokości pięćdziesięciu franków, urzędnicy chcą sprzedać moją biedną chatę!” Łzy tej starej kobiety wydawały się prawdziwe. W każdej chwili mógł przybyć komornik i wyrzucić ją na ulicę! Pierre-Jean bardzo kochał swoją matkę. Jeanne Renaud, także leciwa i nieszczęśliwa, znajdowała się być może w podobnym położeniu i obowiązkiem jego miłosiernego sumienia było przyjść jej z pomocą. Wszystko, co posiadał, czyli właśnie te pięćdziesiąt franków – dał kobiecie. Pierre-Jean zrobił dobry uczynek. Był dumny ze swego szlachetnego serca i zadowolony z siebie. W tej samej chwili do chaty wszedł komornik. Pierre-Jean, nie żałując okazanego kobiecie współczucia, kalkulował, że jeśli miałby sto franków, zatrzymałby niezbędne mu pięćdziesiąt, aby móc dokończyć swoją daleką podróż i pomóc swej zapewne także biednej matce! Równie trudno było znaleźć pracę tam, skąd pochodził Pierre-Jean! Komornik, zadowolony z zapłaty, wręczył starej kobiecie rewers i udał się w swoją stronę. I nie wiadomo jaka zła myśl zawładnęła Pierre-Jeanem, ale, nie ograbiając komornika doszczętnie, wszedł w posiadanie, ni mniej ni więcej, tylko owych pięćdziesięciu franków. Myśląc, że swym dobrym uczynkiem okupił zły, ruszył w dalszą drogę! Ale nim zdążył zobaczyć swoją matkę, ścigany przez policję za dokonanie kradzieży, został ponownie postawiony przed sądem i skazany na dziesięć lat więzienia i zakucia w kajdany! Biedny człowiek, miał na co się użalać – jego matka umierała, zanim zdążyła po raz ostatni ucałować syna!

Tu Bernardon przerwał. Pierre-Jean czuł napływające do oczu łzy. Marsylczyk ujął dłoń starej kobiety i umieścił ją w ręce Pierre-Jeana.

– Oto moja matka – rzekł do niego. – Pan ją uratował. Modliliśmy się oboje za pana!

Pierre-Jean padł na kolana. Bernardon podniósł go.

– Mój przyjacielu, jeszcze dzisiaj wracamy wszyscy do Marsylii. Jeden z moich statków zawiezie pana do Ameryki. Proszę, niech pan weźmie te pieniądze, które zabezpieczą na zawsze pańskie potrzeby! Tymczasem proszę, niech pan przysięgnie, że podejmie pracę.

– Przysięgam panu, tylko tak mogę się oczyścić we własnych oczach!

Pan Bernardon ścisnął mu rękę, mówiąc:

– Dla mnie od dawna jest pan uczciwym człowiekiem!

Jeszcze tego samego wieczora Pierre-Jean, w towarzystwie kupca i jego matki, przybyli do Marsylii, a nazajutrz trójmasztowiec *Ceres*, o ładowności siedmiuset beczek, przyjąwszy na pokład oczekiwanego pasażera, płynął pod pełnymi żaglami w kierunku cieśniny Gibraltaru.

KONIEC

Przypisy

¹ Michel Verne, syn Julesa Verne'a, był "twórcą" *Przeznaczenia Jeana Morénasa*.

² darsa – chroniony basen w porcie śródziemnomorskim.

³ fatyga – tu: zwrot marynarski – skazani, którzy są zatrudniani przy pracach portowych poza terenem więzienia.

⁴ zbir – tu: pejoratywne określenie strażnika.

⁵ ragoût – potrawa z kawałków mięsa baraniego, duszonego z jarzynami i korzennymi przyprawami, często z dodatkiem sosu pomidorowego.

⁶ argus – niższy rangą podoficer więzienny pilnujący skazańców.

⁷ Saint Mandrier – półwysep naprzeciw redy w Tulonie.

⁸ 1 funt – ok. pół kilograma.

⁹ 20 km na wschód od Tulonu.

¹⁰ Przylądek Garonne – dawna nazwa przylądka Carqueiranne, stanowiącego wschodnią krawędź Wielkiej Redy Tulońskiej.

¹¹ Półwysep Cepet – dawna nazwa półwyspu Saint-Mandrier.

¹² fort Aiguillette – położony na wschód od Tour Royal i na zachód od Małej Redy; fort ten nadzorował wejście do Małej Redy.

¹³ sol – moneta używana we Francji, równa 12 denarom, odpowiednik szeląga w Polsce; gruba moneta – zwrot określający monetę o wysokim nominale i znacznej ilości szlachetnego kruszcu.